

Bożena Ulewicz [Nasz Wywiad]: Nie potrafiłabym opuścić Polski



- **Jak chodziłam na komendę, to słyszałam: „Niech pani wybije mężowi z głowy działalność, bo inaczej to pani i dzieciom może stać się jakaś krzywda”. Gdy pytałam, jaka krzywda, mówili: „Będzie przechodziło dziecko przez ulicę, może coś się stać”. Tak nas straszono - o stanie wojennym opowiada Teresa Kałudzińska w rozmowie z Bożeną Ulewicz.**

- **13 grudnia 1981 roku. Jaki to był dzień dla Pani, dla Pani rodziny?**

- Wszyscy pamiętają, że była to niedziela. Jak w wielu polskich rodzinach dzieci chciały obejrzeć teleranek. Włączyliśmy, nic nie było. Tylko śnieżyło. Nie wiedzieliśmy, czy zepsuł się telewizor, czy coś innego się stało. Poszłam do sąsiadki. Sąsiadka sprawdziła. Patrzymy - śnieży tak samo jak w naszym telewizorze. Wróciłam do domu, ubraliśmy się, poszliśmy do kościoła i dopiero tam dowiedzieliśmy się, że jest stan wojenny. Był mroźny, pogodny dzień, cisza na ulicy, nikogo nie spotkaliśmy, było zupełnie spokojnie.

- **Ale już wkrótce wszystko się zmieniło. Wydarzenia w kopalni „Wujek”, śmierć górników, aresztowania i internowania. Kiedy aresztowano Pani męża, Władka?**

- Władka aresztowano 30 kwietnia 1982 r. Było tak, że dostał polecenie od szefa, by zgłosił się na komendę. Tego dnia, pamiętam - błaża sprawa, odbieraliśmy od tapicera fotel, który daliśmy do naprawy. Mąż urwał się z pracy, przywiózł fotel i po powrocie do Polmozbytu, gdzie pracował, dowiedział się, że ma iść na komendę. Odpowiedział, że bez pisma nigdzie nie pójdzie. Otrzymał je wreszcie od kierownika i w drodze na milicję, jakby się spodziewając, co dalej będzie, zostawił pismo w domu, żebym wiedziała gdzie jest. Jak poszedł, tak nie wrócił. Internowano go. W decyzji o internowaniu z 2 maja 1982 roku napisano, że za posiadanie pojedynczych ulotek o treści antypaństwowej i za to, że jest wrogo ustosunkowany do WRON.

- **Spodziewał się tego?**

- Trudno powiedzieć, dokładnie tego nie pamiętam, ale skoro rozprowadzał ulotki, a wiadomo, jakie były wówczas konsekwencje, pewnie można było się z tym liczyć. Ja te ulotki przepisywałam na maszynie w domu, wieczorami. Kładłam grubo złożony koc na stole, żeby nie było słychać, była to maszyna Rheinmetal. Jeszcze ją mam na pamiątkę. Też próbowałam rozprowadzać, ale mąż powiedział, że dwóch działaczy w domu być nie może. Są dzieci, ktoś się nimi w razie czego musi zająć, co oznacza, że brał pod uwagę, czym to może się skończyć.

- **Mąż poszedł na milicję, nie wrócił do domu. Co wtedy Pani czuła?**

- Byłam strasznie zaniepokojona. Z godziny na godzinę lęk się pogłębiał. Najgorzej było powiedzieć to dzieciom. Starszy, Wojtek, miał wtedy 9 lat, strasznie rozpacział, że taty nie ma. Próbowałam mu tłumaczyć. Pamiętam, że stał w oknie i wypatrywał ojca. Podeszłam do niego, przytuliłam do siebie, próbowałam odwrócić, ale on był taki cały sztywny, wpatrzony. Może nie chciał, żebym zobaczyła wyraz jego twarzy, łzy w oczach. Poszłam wreszcie na komendę, jedną i drugą - miałam przecież to pismo - ale wszędzie mówiono, że męża nie ma. 1 maja wybrałam się na miejsce, gdzie zbierał się przed pochodem Polmozbyt. Chciałam spotkać dyrektora i dowiedzieć się, co z Władkiem, ale zbył mnie. Coś tam bąknął, że nic nie wie, choć na pewno wiedział, bo przecież u niego SB siedziało. Nie pamiętam już, od kogo dowiedziałam się wreszcie, że Władek jest w Iławie. Zostałam synów u mojej serdecznej koleżanki i pojechałam. Za pierwszym razem nie zostałam nawet wpuszczona. Nie byłam sama. Z całej Polski przyjeżdżali ludzie szukać bliskich. Nawiązaliśmy ze sobą kontakty, żeby skutecznie walczyć o swoich. Dla wszystkich była to zupełnie nowa sytuacja. Dzieliliśmy się radami, jak się zachowywać w kontaktach z milicją, z SB, co i gdzie pisać. Przekazywaliśmy sobie informacje. Czuliśmy się pewniej. To wsparcie było ważne, bo jak chodziłam na komendę, to słyszałam tylko takie rady, jak: „Niech pani wybije mężowi z głowy działalność, bo inaczej to pani i dzieciom może stać się jakaś krzywda”. Gdy pytałam, jaka krzywda, mówili: „Będzie przechodziło dziecko przez ulicę, może coś się stać”. Tak nas straszono. Wielkim wsparciem był dla nas wtedy Kościół. W Olsztynie powstał punkt pomocy prawnej przy parafii św. Józefa. Tam również chodziłam z dziećmi, by się czegoś dowiedzieć. Pomocą służył nam również śp. ks. Marian Borzyszkowski z parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa. Z tych kościołów

otrzymywałam również artykuły żywnościowe dla rodziny.

Cały artykuł w najnowszym numerze "TS" (5/2016) - do kupienia również w wersji cyfrowej [TUTAJ](#)